Nr. 18 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | **We Lwowie, 16 września 1930** | **Rok 52**

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▐	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▐	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▐	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarnykozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Z Wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 33 zawiera: Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich, Protokół. — Al. Janta-Połczyński: Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Lipsku. — Bohdan Grzymała-Przecławski: Na gęsi z tratwy. — Gen. Walery Marjański: Polskie prochy myśliwskie. — Z badań nad wścieklizną. — Warunki odstrzału rogaczy obowiązujące na terenie Dyr. lasów Państwowych w Bydgoszczy. — Wyniki ochrony. — Wiadomości bieżące. Bibljografja łowiecka. — Z wydawnictw.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 34 zawiera: E. Knothe: W tym roku mało kaczek. — Al. Janta-Połczyński: Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Lipsku. — Gen. Walery Marjański: Polskie prochy myśliwskie. — Janusz Domaniewski: Z literatury naukowej. — Sprawozdanie z działalności Komitetu budowy domu łow. przy Pol. Zw. Stowarz. Łowieckich. — Terminy ochronne ustanowione dla poszczególnych województw. — Choroby psów. — Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. — Kronika myśliwska. — Wiadomości bieżące. — Strzelnictwo. — Wiadomości handlowe. — Odpowiedzi Redakcji.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 35 zawiera: Stefan Fijałkowski: Spostrzeżenia kuracjusza o Delegatach Powiatowych. — Janusz Domaniewski: Czy sarna wschodnia (Capreolus) występuje w Polsce. — Lek. wetre. Jan Cramer: Wrażenia z wycieczek do ferm zwierząt futerkowych. — Dr. Henryk Mikolasch: Z moich polowań kamerą. — W. S.: Kobieta a polowanie. — O żubra w Białowieży. — Wolna trybuna: O ochronie jelenia. — E. Wysocki: Do artykułów „O ochronie jelenia" i „Jeszcze o obecnych stosunkach łowieckich". — Sprawozdanie Delegata P. Z. S. Ł. na pow. Nieszawski za 1929/30 r. — Znakowane czaple. — Czasy ochronne. — Kronika myśliwska. — Wiadomości bieżące. — Strzelnictwo. — Bibljografja łowiecka. — Wiadomości handlowe. — Odpowiedzi Redakcji.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 36 zawiera: Adam Rzewuski: Rozbrajająca naiwność. — Janusz Domaniewski: Hodowla żubrów w Springen. — Gordziałkowski: Odmiany w śpiewie głuszca. — M. Z.: Z życia kuropatw. — Emil Karney: Jeszcze nieco wiadomości dotyczących szkockich seterów t. zn. Gordonów. — K. P.: W obronie Mannlicher — Schoenauer 6,5. — Wolna trybuna. Kazimierz Wysocki: Walka z kłusownictwem. — Terminy ochronne ustalone dla poszczególnych województw. — Z Polskiego Zw. Stow. Łowieckich. — Jesienne próby polowe wyżłów. — Choroby psów. — Kronika myśliwska. — Wiadamości bieżące. — Bibljografja łowiecka. — Wiadomości handlowe.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 37 zawiera: M. K. P.: List i odpowiedź w sprawie pilnej i zasadniczej. — Jotos: Mój pierwszy kozioł. — Janusz Domaniewski: Kilka słów o systematyce głuszca. — Naboje „Pocisk" na tegorocznych zawodach strzeleckich. — Jak posługuje się dziobem słonka? — Kronika myśliwska. — Ze Stowarzyszeń Łowieckich. — Jesienne próby polowe wyżłów. — Wiadomości bieżące. — Wiadomości handlowe.

TREŚĆ NUMERU 18:

Nr. 18 We Lwowie, 16 września 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO



XXIX Zjazd Łowiecki M. T. Ł.

odbył się w dniach 3 i 4 września b. r.

Przedstawicielom Władz naszych i Bratnich Towarzystw, którzy obecnością swoją Zjazd nasz uświetnili, serdeczne składamy dzięki.

Z powodów technicznych sprawozdanie z Zjazdu i zawodów strzeleckich podamy dopiero w następnych numerach.

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI (z teki pośmiertnej)

Wspomnienia z polowań na orły i sępy w latach 1885-1917

(Ciąg dalszy)

17 lutego 190... r., ciepło odziany i pełen animuszu, wyszedłem do parku i ciągnących się na 5 wiorstowej szerokości majątku Czernowy zadrzewionych lewad (nadbrzeżne łęgi). W dolinie huragan szalał z całą siłą, kręcąc i zamiatając mokrym śniegiem, łamiąc i przewracając stare wierzby a gnąc do ziemi wierzchołki topoli, olchy i osik. Szumiało, huczało i wyło wokoło. Robiło się niekiedy zupełnie ciemno od gęstej śnieżycy. Była to już nie „fuga" ukraińska, lecz prawdziwa „purga" syberyjska. Już stałem spory kawał czasu za pniem bliźniaczej osiki, śnieg zasypywał mnie do pasa a zimno przejmować do kości zaczęło, gdy w gęstej śnieżycy jakiś ciemny ptak śmignął mi przed oczyma. Przetarłem zalepione mokrym śniegiem oczy i zamieniłem się w słuch i wzrok. Nie czekałem już długo. Z mgławicy wyłonił się wielki ptak ciemny i wprost na sztych zmierzał ku kępie osik, gdzie stałem. Lepszego strzału nie pamiętam — kulka przebiła piersi ptaka i padł jak szmata o 25 kroków przedemną. Śliczny imperialis. — Ułożywszy na sęku drzewa mą zdobycz — łyknąłem trochę koniaku i wróciłem na dawne stanowisko. Zamierzałem

już udać się w powrotną drogę, gdyż zmierzch już zapadać począł, gdy cokolwiek za mną na topoli, na przeciwnym brzegu rzeki Teligutu ujrzałem siedzącego tyłem do mnie zwróconego orła. Oparłem sztucer o gałąź i wycelowawszy należycie, huknąłem. Kołyszący się na gałęzi ptak ani drgnął — nawet nie słyszał strzału, głuszonego wyciem wichury. Nabiłem francotta i wypaliłem po raz drugi. Orzeł rozłożył jak do lotu skrzydła i zawisł na gałęzi łbem na dół. Bujał dość długo wiatrem poruszany a ja bezradny stałem pod nim. Wreszcie słabnąc coraz więcej, wypuścił gałąź ze szponów i spadł na ziemię. Był to pyszny orlan biało-ogonowy.

W bramie oczekiwał mnie mój Karpo, meldując o orle tuż za zabudowaniami na wierzbie siedzącym. Na strzał kulą było już za ciemno — posłałem po dubeltówkę i z nią udałem się z Karpem do zarośli. Było już zupełnie ciemno, gdy chłopak wskazał mi ciemną jakąś kupę, jak na orła zbyt nisko na drzewie sięzdącą. Palnąłem N-em 2 Łoskot potrącanych skrzydłami zmarzłych gałęzi i czarna cień przemknęła w zaroślach. „Promach" twierdził Karpo, ja zaś byłem nieomal pewny mego strzału. Nazajutrz posłałem go szukać i jeszcze żywego birkuta przyniósł mi Karpo.

Następnego dnia „fuga" cokolwiek przycichła, kazałem podać sanie i udałem się z Karpem do lewad. Prócz sokoła wędrownego nic nie spotkaliśmy w zaroślach. Kazałem zawrócić i pojechaliśmy do lasków o pięć wiorst w stepie będących. Jeszcze byliśmy daleko, gdy zauważyłem unoszące się nad dębiną ciemne punkty — orły. Nie dojeżdżając do lasków, kazałem Karpowi wziąć leśnika, zajść z dołu i pędzić ku wierszynie dębiny — sam stojąc na przełęczy dwóch oddzielnych części lasków. — Okrążywszy z daleka lasek głębokim parowem, podszedłszy, wetknąłem się w rozwidlone pnie grubych dębów, mając szeroką do strzału przestrzeń. Było to najlepsze stanowisko w tej dębinie, związane z wielu wspomnieniami memi. Tu padło kilkanaście lisów, tu zabiłem 1902 r. ogromną wilczycę — w następnym roku zastrzeliłem inną. Zamieć i buszująca wichura, szum i wycie głuszyły sygnały naganiaczy. — Stałem jednak cierpliwie. Po pewnym czasie ujrzałem lecącego orła w przeciwnym kierunku zupełnie, a i ten znikł w ciemnej śnieżycy. Nagle coś załopotało po za mną — obejrzałem się ostrożnie. — Czarny ptak siedział na czubie dębu.

Miałem flintę na pogotowiu, strzeliłem z przerzutu jak do tarczy — ptak odleciał kilkadziesiąt kroków i padł za parowem, próbował jeszcze wzlecieć, lecz sił mu brakło. Nadeszli ludzie, nic nie spotkawszy.

Przejeżdżamy do drugiej części dębiny. W samym jej końcu na oddzielnym dębie siedzą dwa orły obok siebie, jeden cokolwiek niżej. Na strzał śrutowy nie dadzą się podjechać — biorę więc od Karpa frankocik i każę zwalniać stangretowi. Orły dotrzymują jakoś — nowicjusze młodzi zapewne. Mając je nie dalej nad 100 kroków, wyskakuję z sanek i strzelam do wyżej siedzącego, spadł mniejszy, niżej będący. Strzał ten nie dał mi satysfakcji, był jakiś wypadkowy, a kulka do tego jeszcze strzaskała ptakowi piękną głowę i zrobiła go niezdatnym do wypchania.

Tymczasem „fuga" wzmagała się coraz więcej, wichura wyła, śnieg zasypywał wszelkie ślady, czas było powracać do domu. Spieszymy. W bliskości miasteczka Czarnowy, o kilkaset kroków od głównego szlaku leżał trup koński, a koło niego uwijała się gromada drobnego ptactwa, wron srok, para kruków i wychudłe psisko rude, trwożliwie i nieśmiało do padła się zbliżający. Na

ST. BARABASZ

Czeladź św. Huberta

(Ciąg dalszy)

Po przybyciu do dworu sprawa się naturalnie wyjaśniła.

Pan Antoni strzelał bez względu na to przed kim ruszył zając, lub zerwały się kuropatwy, a jeżeli kto równocześnie z nim strzelał, a zwłaszcza młody myśliwy, to zabierał bez ceremonji zwierzynę do swej torby, to znaczy, kazał chłopakowi noszącemu jego torbę brać, ten zaś trzymając stronę swego pana, zawsze twierdził, że widział, jak od strzału jego padła. Towarzysze odpłacali mu się w ten sam sposób.

„Raz zrobiłem dubletę do kuropatw, opowiadał, idę je podnieść, w tem sąsiad z prawej strony wziął jedną, z lewej drugą, a ja stanąłem z otwartą gębą".

Widocznie byli to z jego szkoły myśliwi.

Miał jeszcze jeden, nie dla wszystkich miły zwyczaj. Był punktualny tak przy wyjeździe z domu, jak i powrocie z pola. Jeżeli kto się spóźnił, to na niego nie czekał i wyjeżdżał na polowanie. Jeżeli zaś wcześniej zeszedł z pola i nie mógł doczekać się towarzyszy, to siadał na wóz i odjeżdżał.

„Powiedzcie panom, że czekam na nich w Liszkach".

Do tego miasteczka była nieraz i mila drogi z rewiru, zwłaszcza z dalszego. Toteż towarzysze, którzy lubili dociągać polowanie do późnego wieczora, wyfrycowani przez p. Antoniego najęli furmankę we wsi, i pojechali do Krakowa inną drogą, nie przez Liszki, a p. Antoni czekał na nich do nocy w miasteczku i w dodatku sam musiał ponosić koszty wspólnej furmanki.

Przy następnem polowaniu, ani jedna, ani druga strona nie wspomniała słówka o tem zajściu, ani o kosztach.

Młodzi myśliwi polujący z p. Antonim, strzelali zwykle koty swojskie włóczące się po polach, co on chętnie widział, jednak nie brał w tem udziału. „Bo to panie, mówił, taka baba wściekła, jak jej kota zabiję, nie wiedząc jak ja się nazywam, wykrzykuje różne przezwiska, a mojego właściwego utrafić nie może. Ja tego nie lubię słuchać".

W lecie ubierał się on na polowanie w płócienny długi kitel, buty z cholewami i słomiany o szerokich kresach,

kadłubie padła siedział duży orzeł, drąc kęsy ścierwa. Gdy pies podchodził bliżej, orzeł uderzał z góry na niego, broniąc przystępu. Wypadało śmiałka ukarać, zaczynam go podjeżdżać. Orzeł zajęty robotą nie zwracał wiele na nas uwagi, z czego korzystając, zbliżyliśmy się na kilkadziesiąt do niego kroków a gdy poderwał się, palnąłem do niego. Wzbił się znacznie w górę, przeleciał kawał drogi i zrobiwszy jakiś ruch nieprawidłowy do młyńca powietrznego podobny, spadł na mogile (kurhan). Podjeżdżamy. Orzeł siedzi jakiś osowiały — nie podnosi się, gdy jesteśmy na 30 do 20 kroków. Chciał się poderwać, gdym tuż podszedł do niego, lecz brak mu sił było. Bez oporu dał się wziąć, mając wielką ranę w boku. Był to szósty orzeł w 1½ doby zabity. Był to największy mój sukces osiągnięty w mych orlich 30-letnich polowaniach.

Jeden z będących na mym żołdzie pobereźników sąsiednich majątków Światotroich, dóbr królowej Natalji Serbskiej, uwiadomił mnie o pojawieniu się w laskach dużego, białego ptaka „bud'to orła". — Mimo późnej pory i 18 wiorstowej drogi, pojechałem. Około 2 popołudniu stanąłem na wzgórzu, nad laskami w kilku kępach rozrzuconemi panującem, skąd całą okolicę okiem objąć mogłem. Długo rekognoskowałem miejscowość i przepatrywałem każdą większą grupę drzew, zanim dostrzegłem na dominującym dębie jakiś duży biały przedmiot, który tak dobrze mógł być kupą zmarzłego śniegu jak i owym ptakiem. Przyjechawszy na dalszy pagórek, mogłem dopiero przez binokle rozpoznać zagadkowy przedmiot. Był to rzeczywiście biały jak gęś orzeł z dużem rudem piętnem na piersiach, (być może krwią zwalany). Siedział nastroszony, niespokojny. Nad nim bujał czarny orzeł i zdawał się go atakować. Mówił mi leśnik, iż od chwili pojawienia się tego ptaka, orły nie dawały mu spokoju i staczały z nim walkę ustawiczną. O podjechaniu lub nawet zbliżeniu się na strzał trudno było myśleć, gdyż zaledwie zawróciłem sanie w tę stronę, orzeł wznosił się wysoko i popłynął daleko, za nim w pogoń poleciały inne. Był to albinos, lub przedstawiciel nieznanej odmiany, sądzić mi trudno — mogę tylko zapewnić, iż był to orzeł biały, wielkości birkuta. Inny pobereźnik z sąsiednich lasków w S.-Troickiem, z dóbr Strażyckich w kilka dni potem spotkany mówił mi o tym białym orle widzianym w tamtej okolicy. — Słyszałem później jeszcze o zabiciu tego niezwykłego ptaka, lecz mimo starań i poszukiwań na ślad jego wpaść nie mogłem.

Wyjechałem pewnego dnia lipcowego z chartami na młode dropie zapolować, co niekiedy powodziło się niektórym myśliwym, że zaś nie miałem szczęścia do tego rodzaju łowów i prawdę mówiąc, nie kochałem się nigdy w tem duszeniu przez psy innych zwierząt. Psy buszując po wysokiem zbożu, spędziły jakiegoś sporego ptaka o barwie złotawej, jak mogłem zauważyć w blasku słońca. Rwał się tak jakoś ciężko i wzbijał w górę — że psy skacząc wysoko, o mało go nie pochwyciły za wiszące nogi. Odleciał nie daleko i siadł na słupie tyrła bydlęcego (noclegi bydła). Wysoce zainteresowany wyglądem tego nieznanego ptaka i jego nieostrożnością, jaką zdradzał, zawróciłem konia w jego stronę. Miałem dziś młodego konia pod sobą, nerwowego i bojącego się strzału, więc zeskoczyłem z siodła i przygotowałem się do strzału. Głupi ptak zajęty obserwowaniem chartów, biegających wokoło słupa, nie zwrócił się nawet w mą stronę, gdy podszedłem do niego na 40—50 kroków. W chwili, gdym podrzucił fuzję do ramienia, szalony wierzchowiec szarpnął cuglami — strzał chybił i ptak nie mniej cięż-

---

kapelusz. W domu zaś rano, a wstawał bardzo wcześnie, chodził po ogrodzie mając baranią czapkę na głowie.

Raz w prędkości zapomniał wdziać kapelusz, i pojechał w czapce. Opatrzył się dopiero w milę od domu, gdy przyszło się komuś ukłonić, zaś urwisze towarzysze nie ostrzegli go o tem, chociaż dobrze widzieli jego pomyłkę. Chodził więc p. Antoni po polach i bagnach w baraniej czapce, a pot kroplami spływał mu po nosie, bo słońce prażyło niemiłosiernie, a był to początek sierpnia.

Raz znów gwałtowna ulewa przemoczyła wracających do domu myśliwych, niemających odpowiedniego okrycia. Od tego czasu p. Antoni brał zawsze ze sobą w lecie parasol okrutnych rozmiarów, tak zwany kalwaryjski, od wszelkiego wypadku.

Pan Antoni z wiekiem coraz wolniej chodził, widać było, że go chodzenie męczy i gorzej strzelał. Na bagna za kszykami już się nie zapuszczał, chociaż lubił te ptaki. Nieraz mi proponował zamianę za kilka kszyków, tyleż kuropatw. W końcu zdarzało się, że przez cały dzień nic nie zabił, — chociaż słyszeliśmy, że strzelał kilkakrotnie. Stracił wtedy bardzo na humorze.

W tym czasie dał się namówić na przyjęcie urzędu wójta na Półwsiu Zwierzynieckiem, i to go dobiło. Ludzie dokuczali mu za to, że nie patrzył przez palce na różne nie zawsze uczciwe sprawy, tylko je wytykał i nazywał po imieniu. Zapadł na astmę sercową i umarł.

Wspomnianemu wyżej p. Ksaweremu wyplatali towarzysze figla dosyć złośliwego. Był on doskonałym strzelcem, zwłaszcza do kuropatw, umiał za niemi chodzić, bo i psa miał dobrze ułożonego. Toteż zwykle największą ilość kuropatw przynosił on z polowania. Narzekał jednak, że wzrok mu się psuje, i że zająca pomykającego nie widzi tak dobrze, jak dawniej.

Jeden z naszych towarzyszy, optyk, namówił go, aby sobie sprawił okulary. I tak się stało. Chwalił on sobie niezmiernie te szkła.

„Zająca widzę dopiero teraz dokładnie, a i na kurach pióra rozróżniam, że też to wcześniej o tem nie pomyślałem".

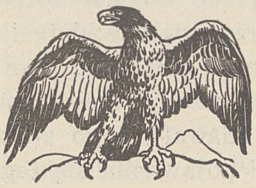
Ba, ale od tego czasu zaczął robić spustoszenia w zwierzynie. Towarzysze bojąc się, że dla nich zajęcy zabraknie, postanowili zamienić mu okulary na inne zupełnie nieodpowiednie dla jego wzroku, co się zrobiło wtedy, gdy zapomniał torby na wozie. Nie poznał się na tem

ko, jak za pierwszym razem, podjął się na skrzydłach. Strzeliłem powtórnie i ugodzony ptak padł niedaleko. Jakże niepomiernie byłem zdziwiony widokiem nieznanego mi dotąd orła, wielkości dzwońca, o cokolwiek wysmuklejszej formie ciała, i dłuższym ogonie a tak pięknie barwnego w złotawe pióra. Był jednakże w stanie linki, brakło mu piór w ogonie i kilku w skrzydłach co czyniło go tak ociężałym w locie. Nie przydał mi się na nic, nie umiałem też określić, do jakiej grupy należał. Nigdy więcej nie spotkałem podobnego jemu.

Mój Karpo odnalazł na stepie Czarnego Kątu w Ananiejewskim powiecie noclegi sępów. Kilka bezlistnych dębów-staruszków, świadczących o dawnych lasach w tych okolicach stało samotnych nad głębokim obrywem, ciągnącego się wiorstwowego jaru. Umazane białym kałem ptaków drzewa, jak niemniej obfito nim zbryzgana ziemia, świadczyły dobitnie o długich postojach tu wielkich drapieżników skrzydlatych. Trudno zatem było nie spróbować szczęścia w nowym rodzaju zapolowania na te olbrzymie potwory-grabarze. Więc też w najbliższą noc ciemną wybrałem się Karpem na te bądź co bądź ciekawe łowy. Noc była ciemna, wrześniowa, na kilka kroków trudno było rozróżnić jakiś przedmiot, co chwilę jakieś „cudowiszcze" stawało na naszej drodze, jakieś olbrzymie góry, to straszne obrywy co chwila otwierały się przed nami, to figura leżącego przedemną na czworakach Karpa wydłużała się okropnie, każdy bodziak rósł w mej wyobraźni do potworu jakiegoś. Po kilku kwadransach mieliśmy dębinę przed sobą. Grunt stawał się prawie niemożliwym do dalszego czołgania się, był coraz obrzydliwszy i oślizgły od kału tak cuchnącego, iż zacząłem dostawać mdłości. Nawet mój Karpo, niezbyt czuły na powonienie, dusił się od smrodu. Nagle trzasnęła sucha gałąź pod mą nogą i w tej samej chwili zatrzeszczały łamane suche gałęzie drzew, posypały się na nas ich odłamki i spadł istny deszcz ciepły na nasze głowy i ubrania a szum jak burza zabrzmiał w drżącem powietrzu. Jak na komendę strzeliliśmy z Karpem w ciemną przed nami unoszącą się gromadę. Dwa dublety, jak jedno echo, rozległy się w jarze i odbiły o sąsiednie brzegi wyżyny, jak dalekie grzmoty a równocześnie z jakimś głuchym szelestem padło coś ciężkiego na ziemię. — Karpo zaświecił łuczywo, naniósł suchych gałęzi i roznieciliśmy spory ogień, w świetle którego ujrzeliśmy czarne straszydło z rozpostartemi szeroko skrzydłami, stojące na wiotkich nogach i gotujące się do obrony. — Monstrualnie wyglądał ten rabuś czarny w blasku czerwonych płomieni ogniska. Długo nie dawał dostąpić do siebie, jak szpadą odbijając ostrzem dzióba nasze natarcia. Po długiem mordowaniu się, Karpowi udało się ogłuszyć go uderzeniem pałką w głowę. — Jakkolwiek osiągnąłem pożądany rezultat mej wyprawy nocnej, nigdy już więcej nie próbowałem podobnego polowania.

Fatalny wygląd omazanego krwią i posoką obżartego ptaka, woń fatalna, jaką ten plugawy grabarz roznosi do koła, jest tak wstrętną, że na samo wspomnienie przyprawia do mdłości.

(C. d. n.)



i strzelał odtąd znacznie gorzej. Gdy po długim czasie powiedziano mu o tej zamianie, obraził się śmiertelnie i nie chciał odtąd więcej znać autora tego psiego figla.

Z polowania wracano już późnym wieczorem do domu, bo było to dwie i pół mili do Krakowa. Pod siedzeniem leżała zwierzyna, w tyle wozu psy pomęczone, niektóre z nich głodne, bo p. Ksawery nie dawał swemu psu jeść aż dopiero w domu. Otóż zdarzyło się tak, że tylko on jeden zabił zająca, reszta myśliwych wracała z pustemi torbami. Pies był nadzwyczajnie tresowany, nie gonił za zającem, i nigdy nie ruszył mięsa w kuchni. Przyjechawszy do domu, każe p. Ksawery wyjąć zająca z pod siedzenia, lecz znaleziono tylko łeb i dwie szczoteczki ze skoków. Pies zaś przewidując nagrodę, jaka go czekała, niedał się w żaden sposób namówić do zejścia z wozu.

Pan Ksawery miał odwieczną lefoszówkę, ciężką, niezgrabną, prawdopodobnie jedną z pierwszych tego systemu, z której jednak doskonale strzelał. Niedał się namówić na kupno lankastrówki. Ktoś z krewnych zrobił mu na imieniny prezent z pięknej piperówki, lecz on nie chciał jej używać wcale, twierdząc, że jego stara lefoszówka jest lepsza. Co najciekawsze, że nie pozwolił aby tę lefoszówkę spróbować do celu i obrażał się, gdy mu to proponowano. Widocznie był trochę zabobonny, a może bał się narazić na szwank cnoty swej ulubienicy, bo nużby się pokazało, że nie jest ona tak cnotliwą, jak on sobie wyobrażał. Piperówkę sprzedał i do końca życia pozostał wierny ukochanej strzelbie.

* * *

Po śmierci p. Antoniego dzierżawiliśmy nadal te rewiry. Przystąpił wtedy do naszej spółki jeden z bardzo znanych myśliwych, pan B., który we wschodniej części kraju polował na niedźwiedzie i był pogromcą wielkiej ilości dzików za pomocą kłucia kordelasem. Polował nawet w Małej Azji. Uważaliśmy sobie za zaszczyt, że taki sławny myśliwy zechce z nami polować, cieszyliśmy się, że zaprowadzi u nas racjonalną gospodarkę łowiecką i podniesie się przez to znakomicie stan zwierzyny.

Ta racjonalna gospodarka w rzeczywistości tak wyglądała: Wyjeżdżał zwykle wtedy na polowanie, gdy nikt z nas nie miał na to czasu. Dobrał sobie drugiego myśliwego, pana H. znakomitego strzelca z pod Wieliczki. Chłopcy ciągnęli sznur przed myśliwymi, wypłaszając wszystką zwierzynę, myśliwi strzelali a żaden strzał nie

FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

(Tłum. z ang. A. M.)

(Ciąg dalszy)

Nie sądzę, aby mogło być na świecie coś więcej ciekawego dla myśliwego i sportsmena, jak wędrowanie po okolicy obfitującej w zwierzynę, gdy warstwa śniegu pokrywa każdy najdrobniejszy krzaczek, a w szczególności wędrowanie w towarzystwie takiego utalentowanego myśliwego, jakim jest Dennis, który każdy trop napotkany odróżniał i odczytywał tak wyraźnie, jakby czytał z otwartej księgi. Tropy łosi wszędzie były widoczne, a także i kun, lisów i wilków, a i głuszce misternie wycisnęły, jak koronkę, ślady swych małych pazurków w najrozmaitszych kierunkach na białym śnieżnym całunie, gdy wczesnym rankiem zlatywały się na pożywienie.

Na szczycie „Look out Mountain" rozniecilismy niewielkie ognisko, zagotowaliśmy herbatę i przekąsiliśmy, zwracając w każdej chwili baczny wzrok na skraj lasu i na bagniska u stóp naszych.

Willy pierwszy dostrzegł 3 łosie, lecz tak prędko zwróciły one do lasu, że nie mieliśmy dość czasu rozpoznać ich jakości. Nieco później Dennis zobaczył trzy inne łosie, na pochyłości. Był to byk i łosza z małem, a zaraz potem, trochę na lewo, zauważył jeszcze inną rodzinę, a co najważniejsze, twierdził, że byk jest wielki i posiada ogromne łopaty.

Udaliśmy się więc w stronę tych ostatnich, ale kierunek wiatru zmuszał nas do krążenia długo poprzez gęste krzaki i wierzbowe gąszcze, gdzie śnieg leżał bardzo głęboki.

Gdziebyśmy się nie skierowali, wszędzieśmy natrafiali na tropy łosi, stąd wnioskowaliśmy, że ilość ich musi być niezmierna.

W jednem miejscu napotkaliśmy na tak świeży trop, że Dennis stanął zdziwiony, że do tej pory nie spotkaliśmy jeszcze łosia i w chwili gdy on z Willy zajęci byli oglądaniem tropu, zwróciwszy się w bok, ujrzałem na jakie 30 yardów od nas olbrzymiego byka, spoglądającego hardo na nas oczami błyszczącemi od gniewu. — Szedł w naszą stronę, a Dennis szepnął mi, abym trzymał broń w pogotowiu. Byk zatrzymał się, a ja wyjmowałem nabój z torby, lecz zanim zdołałem to uczynić, łoś się majestatycznie obrócił i znikł między drzewami.

Był to niezrównany okaz, a łopaty jego wszędzie, prócz Alaski, uchodziłyby za łup wspaniały, lecz ja postanowiłem sobie upolowanie łosia mającego łopaty nie mniej jak 60 cali obwodu, o ile to naturalnie możliwem będzie, a więc tego zostawiłem w spokoju.

Jak to się przytrafia u skandynawskich byków w czasie bekowania, tak i łosie „moose" bywają w tym czasie nieraz agresywne. Może i ten chciał nas zaatakować.

Wędrując dalej, doszliśmy do miejsca, skąd łatwo obserwować mogliśmy całą rodzinkę łosi. Składała się ona z dużego byka, łoszy i młodego byczka z małemi zupełnie łopatami; zauważyliśmy, że stary nie był zadowolony z obecności młodzieńca, gdyż wciąż go ścigał i prześladował, gdy się zanadto do nich zbliżał. Długi czas patrzyliśmy na nie i nie mogłem się zgodzić z twierdzeniem Dennisa, co do wielkości łopat starego samca. Byłem przekonany, że nie miały 60-ciu cali obwodu, a Dennis przysięgał, że są tej właśnie miary; w końcu,

---

był daremny. Zwierzyna szła do sklepu pana B., gdzie ją sprzedawał. Z końcem sezonu łowieckiego, rewir dotychczas bardzo dobry, zmienił się w pustynię. Tak samo stało się z innemi rewirami przez niego dzierżawionemi, które po wytępieniu zwierzyny, porzucał.

Po pozbyciu się podobnych doradców, spółka nasza rozwinęła się, zwłaszcza gdy postanowiono urządzać gremjalne polowania na zające raz do roku, a tylko na kuropatwy wolno było w pojedynkę polować i to z pewnemi ograniczeniami.

Na dorocznych polowaniach padało zwykle wtedy po sto kilkadziesiąt zajęcy.

Trudna jednak była walka z kłusownikami, którzy wytworzyli się z chłopców używanych poprzednio do noszenia torb, tem trudniejsza, że i polowy przez palce na ich praktyki patrzył, z powodu że i sam miał nieczyste sumienie.

* * *

Sąsiednią Nową Wieś Szlachecką, graniczącą z rewirem p. Antoniego, dzierżawił p. S., który przypuszczał do spółki różnych „zontagsjegerów" z pod ciemnej gwiazdy. Jeżeli w dzień wyjazdu na polowanie zgłosiło się mało amatorów, to brał kogokolwiek, kto się tylko nawinął, wszystko jedno, czy umiał strzelać czy nie, byle fura była pełna i koszta wyjazdu pokryte.

Amator taki postawiony na stanowisku, często strzelał, a zapytany co zabił, odpowiadał: „Ja tak sobie w pole strzelałem".

Wyjazd tej kompanji był bardzo wesoły, albowiem zabierali ze sobą pokaźną baterję wódek, racząc się nią już od rogatek miejskich. Po drodze czepiali się wozu chłopcy do noszenia torb, psy biegły koło wozu, ujadając się z wiejskiemi kundlami, robili harmider, myśliwi także, śpiewając i dowcipkując.

Raz obserwowałem taką scenę. W Bielanach siedział przed chałupą stary kundel, a opodal dwa młode psiaki igrały z sobą. Gdy nadjechał wóz z myśliwymi, psiaki owe napadły ujadaniem biegnące za wozem wyżły. Nato stary kundel skoczył i każdego z tych szczeniaków po kolei złapał za kark i potarmosił. Co miało znaczyć:

„Nie widzicie gałgany, że to goście przyjezdni, i do tego pańskie psy, a nie takie kundle jak wy".

(C. d. n.)

ufając wielkiemu doświadczeniu jego, zgodziłem się go podchodzić.

Szliśmy brzegiem małego strumyka w stronę pagórka, gdzie były łosie. Tak byk jak i łosza ukryte, leżały zapewne za wysokiemi wierzbami, a młody był widoczny i obcierał swe drobne łopaty o pnie drzew, robiąc tem taki hałas, że chociaż nie mogliśmy się posuwać w zupełnej ciszy, zdołaliśmy jednak zbliżyć się do nich na 80 yardów, zanim nas spostrzegły. Wtedy młodzieniec stanął nieruchomo, a w chwilę potem, dziaduś zerwał się na równe nogi i spojrzał w naszą stronę.

Oglądałem zdala te bardzo szerokie łopaty i olbrzymi tułów jego, gdy raptem Dennis w przystępie zapału szepnął mi: „Strzelać! Strzelać!". Musiałem jednak poczekać z tem przez chwilkę, bo właśnie duża wierzba skryła mi część grzbietu byka.

Gdy wreszcie strzeliłem, postąpił on krok jeszcze naprzód; posłałem mu więc dwie jeszcze kule; po ostatniej rzucił się w tył, padł grzbietem, że wszystkie badyle widać było w powietrzu, już nie żył; a tymczasem reszta stadka się ulotniła.

Udaliśmy się teraz aby rostrzygnąć nasz spór i odrazu przekonaliśmy się, że Dennis i tym razem pomylił się co do rozmiaru łopat. Miały one tylko 52 cali obwodu i posiadały 20 pasemek; był to zapewne stary łoś z popsutemi już łopatami.

Tułów wydawał się nam ogromny i gdy zmierzyłem go, okazało się, że od pyska do końca ogona wynosił 118 cali, a wysokość na grzbiecie — 82 cali.

Bardzo byłem ciekawy, gdzie trafiła moja pierwsza kula, i gdy znalazłem w skórze na grzbiecie długi obcior, zrozumiałem, że kula trafiła najpierw w wierzbę, a odbiwszy się, zadrasnęła tylko skórę zwierzęcia, gdy druga kula przebiła korpus wyżej obydwóch łopatek.

Byk będąc w samej fazie bekowania, posiadał okropnie wstrętną woń; wypatroszywszy go, pozostawiliśmy go do następnego dnia.

Zanim doszliśmy do obozu, słońce się już schowało wśród wspaniale oświeconych chmur i w niedługim czasie księżyc ukazał się, ścieląc swe promienne blaski na ciche, białe góry i lasy. Po ciężkiej całodziennej pracy i wyjątkowo uciążliwym marszu doznaliśmy wielkiej ulgi, gdyśmy ujrzeli z daleka między drzewami migocące się światełka naszego obozu.

Noce stały się teraz bardzo chłodne. Nie posiadając termometru, pojęcia nie miałem ile stopni mrozu może być; ale warstwa lodu w kubełku wody wynosiła rano kilka cali grubości.

Obozy nasze przy lesie odwiedzane były przez bardzo ciekawego małego ptaszka, kanadyjską sójkę (Perisoreus canadensis), która śmiało przylatywała i zabierała wszystko, co tylko udało się jej dostać, a zwłaszcza mięso i tłuszcz. Z wielkiem zainteresowaniem śledziliśmy tego ptaka, operującego duże kawały mięsa caribou, zawieszone na drzewach. Szarpał, rwał je na wszystkie strony, aż w końcu, gdy mu się udało oderwać porządny kawałek tłuszczu, unosił je z sobą, aby powrócić po jakimś znów czasie po nowy.

„Whisky Jack" jest to nazwa popularna tu, tego miłego, małego obozowego złodzieja, który rozwesela i umila owe smętne dnie w obozie.

Inny mały mieszkaniec tych okolic nosi nazwę „packrat" (Neotoma cinera drummondi), t. j. szczur zamieszkujący paki, składy. Jest to maluśki wędrowiec w ciągłym ruchu, wyrządzający wiele szkód i psot mieszkańcom. Uparty ten złodziej, gdy się dostanie do worków z cukrem lub mąką, opróżnia je stopniowo w tajemniczy sposób, aż pewnego dnia właściciel tych zapasów znajdzie niespodziewanie drobne cząsteczki mąki lub cukru usłane po drodze wiodącej do otworu pnia starego jakiegoś drzewa, lub podobnej kryjówki, gdzie pokopawszy nieco, odnajduje całe zebrane cenne swe zapasy.

Przeważnie cały nasz zapas ryżu stał się pastwą tego małego nicponia. „Szczury" te nie zadawalają się produktami spożywczemi, ale chwytają i niosą z sobą napotkane przezeń najrozmaitsze przedmioty.

Następny dzień spędziliśmy w wędrówce po zabitego łosia, poćwiartowali go, wpierw zdjąwszy zeń skórę i zabrali do obozu; cieszyłem się, że mieliśmy obok w sąsiedztwie obóz Indjan, bo tym sposobem mięso to zostało całe zużyte.

W czasie zajęcia przy obielaniu, dwa duże łosie wyszły na zbocze o 500—600 yardów odległe i swobodnie paść się zaczęły na otwartem polu; dość długo tak się pasły, a tymczasem po niejakim czasie daleko na górze ujrzałem przez binokle kozła górskiego stojącego na stromym brzegu nad przepaścią. Z tej odległości wydawał mi się kozioł jak plamka jakaś, lub kłębek mały wełny, a chcąc się przekonać jak dalece Indjanie mają bystry wzrok, zapytałem kucharza, czy widzi on co na górze. Gołem okiem nie mogłem kozła tego dojrzeć, zapamiętałem tylko punkt, gdzie go widziałem przez binokle. Billy długi czas rozglądał się, a nakoniec odezwał się łamaną angielszczyzną, co miało znaczyć po polsku dosłownie: „Dla mnie widać kozła; teraz się porusza". Nic więc dziwnego, że ci ludzie są tak świetnymi myśliwymi.

W powrotnej drodze do obozu, śnieg znowu zaczął padać i w ciągu nocy przybyło go na kilka cali, co nie polepszyło wcale warunków lokomocji.

Po południu urządziliśmy wycieczkę na Łosiową Górę i z jej szczytu spostrzegliśmy w lesie u stóp naszych łosia po raz pierwszy z rzeczywiście już dużemi łopatami. Ścigał on łoszę i wyraźnie dochodziło do uszu naszych głośne chrząkanie i uderzanie szerokich jego łopat o pnie drzew. Na nasze nieszczęście łosza zwróciła się na zachód i znikła w gąszczu leśnym, a byk za nią podążył.

Później, gdy się dostatecznie niebo wyjaśniło, tak, że okolice wyraźnie się przedstawiały, Dennis spostrzegł daleko od nas dużego byka w tym samym kierunku, gdzieśmy niedawno zabili pierwszego, więc się tam znów zwróciliśmy.

Po dwóch godzinach brnięcia w głębokim śniegu natrafiliśmy na trop, lecz Dennis zbadawszy go przez chwilę, uznał, że nie wskazuje on grubego łosia, więc daliśmy za wygraną i powróciliśmy do obozu. Tego wieczora nawet Dennis był zmęczony.

Jeszcze spadł śnieg, a ponieważ było to dopiero 27 września, pomyślałem sobie, że dobrze byłoby postarać się, jak można najprędzej o drugiego, a zarazem ostatniego łosia i opuścić góry, wpierw zanim śnieg stanie się zbyt dla koni głęboki.

Ostatecznie pogoda nastała i chwycił silny mróz. — Dennis radził udać się na polowanie w południowo-wschodnią stronę, w okolicę, gdzieśmy jeszcze nie byli wcale. Pewnego więc wczesnego poranku wyruszyliśmy obaj w towarzystwie Willy. Wierzby pokryte były wszędzie warstwami śniegu, a ponieważ pocieplało trochę, tak, że śnieg zaczął topnieć, całe strumienie lejące się z drzew, przemoczyły nas do szpiku kości; w dodatku, twarda skorupa śniegu łamała się nam teraz pod nogami, czyniąc tę wędrówkę nadzwyczaj uciążliwą. Tego poranku spotkaliśmy mnóstwo tropów łosiowych; raz minęliśmy pięć ich krzyżujących się w jednem miejscu, ale według Dennisa były to tropy słabych łosi, więc nie zwracając już na nie uwagi, szliśmy dalej. Ujrzałem nawet niedaleko małe łosiątko, a matki nigdzie widać nie było.

Po trzygodzinnym prawie marszu dotarliśmy do małego pagórka, do którego zwykle każdy myśliwy wędrował, gdyż przedstawiał on wyborny punkt obserwacyjny. Zatrzymaliśmy się więc na jego szczycie, rozniecilismy małe ognisko i zagotowaliśmy herbatę. Z miejsca tego widzieliśmy doskonale całą okolicę we wszystkich kierunkach, więc Dennis wziął binokle i podszedł badać opodal leśne skraje. Gdy tak siedzę z Willy, łosza z małym przebiega raptem nasz pagórek; Willy wtedy nadzwyczaj wprawnie zaczął naśladować chrząkanie byka, co słysząc łosza z małym, zatrzymała się na chwilę i spojrzała w naszą stronę.

W tej samej chwili ujrzałem Dennisa biegnącego po drugiej stronie naszego pagórka i z rozpłomienionych jego oczu zrozumiałem odrazu, że chodzi tu o coś bardzo ważnego. Skinął dziko na mnie i kiedy doszedłem do niego, ukazał mi na dole, w stronie lasu, olbrzymiego byka z ogromnemi łopatami, z pewnością o 60-ciu calach obwodu — jeśli nie więcej! Niestety, byk zwęszył łoszę z małym, a ponieważ już mi znikał z oczu, nie miałem chwili do stracenia. Odległość dla strzału była jednak niemożliwa, bo na dobrych 450 yardów! żeby tak można było mieć wtedy dalekonośną teraźniejszą broń! Warto jednak było postarać się o ten okaz, więc przysiadłszy nieco, pociągnąłem za cyngiel o ile mogłem z zimną krwią.

Willy dał mi do zrozumienia, że strzeliłem za nisko, więc następne dwa strzały skierowałem już wyżej, ale z tym samym rezultatem, a nie wiedząc, gdzie kule moje trafiają, nie mogłem zmienić celownika.

Byk naturalnie szukał ciągle łoszy, i gdy nareszcie ją zobaczył z dwojgiem małych, które strzały moje spłoszyły gwałtownie do lasu, sam majestatycznie obrócił się w koło, podążył za niemi i zniknął; posłałem za nim ostatnią jeszcze kulę, która, jak mi się zdawało, dosięgła go, gdyż widziałem, jak raptem podskoczył. Ale w rezultacie, nie znalazłem nigdzie śladów farby, doszedłem do przekonania, że nie był nawet tknięty. Znalazłem nawet w końcu w odległości 600 yardów kulę moją i poznałem, że poruszyła ziemię niżej właśnie tego miejsca, gdzie stał łoś.

Byłem w istocie strasznie tem zgnębiony, tembardziej, że miałem wrażenie, że to jedyna była sposobność zdobycia takiego wspaniałego łosia z wielkiemi łopatami; Dennis był także zły i głośno narzekał, że chybiłem; jednem słowem, humory nasze były niżej zera.

Kilka jednak czarek gorącej herbaty smaczne przekąski i dobra fajka wkrótce nasz smutek rozprószyły i Dennis zabrał się do ponownego wypatrywania grubego łosia. Wkrótce podążyłem za nim i gdy się oczom jego ukazałem, dał mi natychmiast znak, abym pospieszał. Zobaczył on byka na przestronnej dolinie po drugiej stronie lasu; wkrótce i ja spostrzegłem czarnego jak węgiel łosia, a ponieważ Dennis twierdził, że miał on duże łopaty, poszliśmy za nim.

Po drodze przechodząc przez mały strumyk, spłoszyliśmy całe stado czarnych kaczek, a po półgodzinnym prawie marszu, dotarliśmy do lasu, gdzieśmy zostawili nasze płaszcze i torbę i zaczęliśmy się ostrożnie podkradać do miejsca, gdzie był łoś.

Śnieg skrzypiał nam pod nogami, a grubość jego dochodząca do wysokości karłowatej brzozy, utrudniała nam wielce postępowanie naprzód. Nie mogliśmy czas jakiś za nic wynaleźć łosia, gdyż wsunął się on w grupkę drzew, ale charakterystyczna w czasie bekowania przykra woń jego dała nam do zrozumienia, że się blisko znajduje, więc dalej podchodziliśmy bliżej wzdłuż małego ruczaju, coraz więcej będąc okrążeni jakby „wałem" strasznie cuchnącego powietrza.

Wtem Dennis przystanął, wskazując na punkt między drzewami, lecz ja nic dojrzeć ani dosłyszeć nie mogłem; rzucił się on w końcu w małą gęstwinę, a ja starałem się przynajmniej nie stracić go z oczu.

Ostatniemi czasy zmuszony byłem używać amerykańskich gumowych trzewików, które stały się teraz tak śliskie, że co chwila padałem, gdy tymczasem Dennic biegł w nich tak lekko i zręcznie jak kot. Ujrzałem go wkrótce nachylonego przy drzewie, dającego mi gwałtownie różne znaki, abym szedł do niego.

Zdyszany okropnie, bez tchu prawie, byłem w końcu przy nim i ujrzałem na dużej otwartej polanie o 150 do 200 yardów wspaniałego łosia, czarnego jak węgiel. — Dennis stał, naśladując głośno chrząkanie samca, a ten zatrzymał się, obróciwszy w bok łeb i nasłuchując. — Paf! — wyleciał strzał i posłyszałem uderzenie kuli, a byk chwiejnym już krokiem zaczął uchodzić. Jeszcze dwa strzały, jeden po drugim, a olbrzymia bestja zwa-

liła się, aby więcej już nie powstać. Łosza była przy nim, którąśmy dopiero zobaczyli, gdy uciekać zaczęła.

Badając następnie to miejsce, zauważyliśmy, że zaledwie 50 yardów dzieliło nas od byka, gdyśmy się pierwszy raz zbliżyli do tej grupki drzew. Dennis go spostrzegł wtedy i puścił się za nim, a dziwnem się doprawdy wydaje, jakim sposobem wielkie te zwierzęta, gdy poczują niebezpieczeństwo im grożące, tak się cicho poruszać i oddalać mogą.

Dostałem rodzaj wstrząsu, gdy zobaczyłem, że miara łopat wskazuje tylko 43½ cali obwodu i jest zaledwie 16 paseczek. Łoś był duży i zupełnie czarnej maści; bez wątpienia jeden z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem.

Gdyśmy się ubrali w płaszcze nasze i ja nałożyłem na siebie torbę, rozpruliśmy brzuch łosiowi i wyjęliśmy wnętrzności jego; potem ruszyliśmy do obozu, gdzie, po długim i nużącym strasznie marszu, dopiero późno w nocy stanęliśmy.

Noc ta wspaniale wyglądała oświecona zorzą północną, która zwykle zapowiada niepogodę; to też nazajutrz, gdyśmy poszli do zabitego łosia, aby go obielić i zabrać łeb jego i mięso, rozszalała się okropna burza, trwająca całą dobę. Siła wiatru była tak potężna, że wróciwszy, obawiałem się chwilami, aby nasz namiot nie został wywrócony i porwany wichrem.

Zajęliśmy się teraz spakowaniem wszystkich naszych rzeczy i ubrań. Indjanie również złożyli swój namiot i gotowi już byli do powrotu. — Mieli oni iść naprzód w stronę dużych pustkowi, gdzie Dennis miał się z nimi spotkać po odprowadzeniu mnie do stacji telegraficznej.

Wszyscy Indjanie dźwigali duże pakunki, a stary Indjanin niósł tak wielki tłumok, że go prawie z pod niego nie było widać. Psy również ciągnęły ciężkie paki, ale wyglądały dobrze i wesoło, będąc obficie teraz karmione.

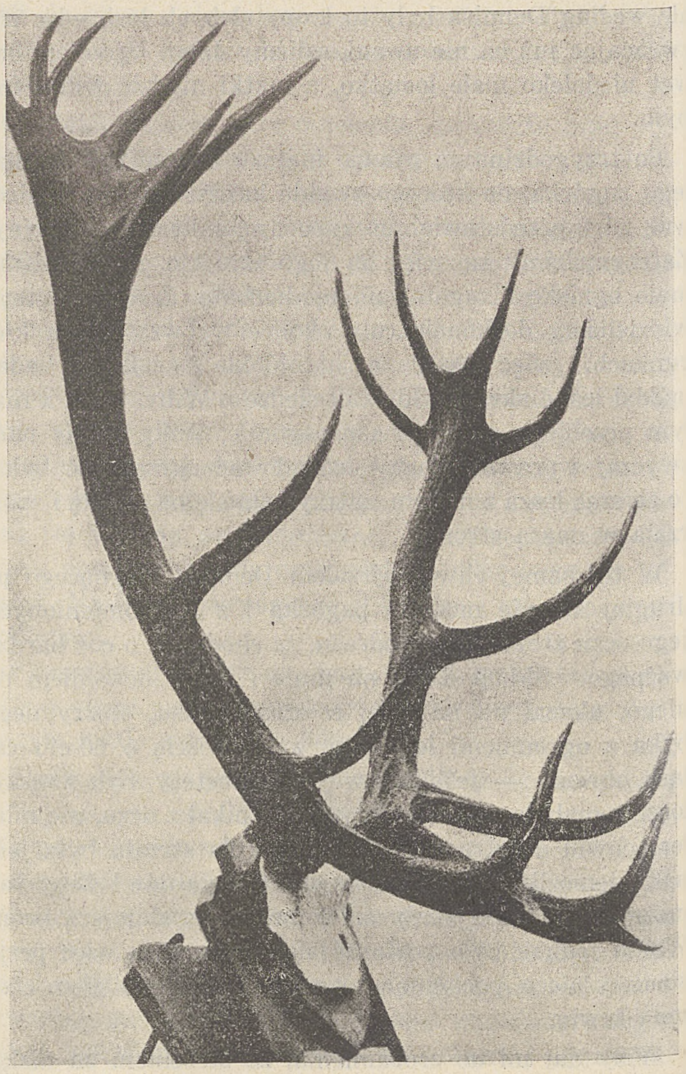
Niepogoda wciąż trwała; 1-go października dotarliśmy do miejsca Nahlin bez żadnych przygód. Pilling pragnął zatrzymać się tu, aby upolować jeszcze jednego lub dwa łosie, więc przyłączył się do nas, gdyśmy nazajutrz po wyruszeniu Indjan udali się do telegraficznej stacji i dopiero w małem schronisku, przy „17-tej milowej stacji", rozstałem się z nim i podążyłem dalej.

15-go października minęliśmy stację Salmon, gdzieśmy znaleźli kawał deski przybity do drzewa, na której p. Sargent wypisał dla nas krótkie sprawozdanie swego polowania. Zabił on dwa skalne kozły, trzy szare niedźwiedzie i dwa „coyotes" (canis latrans), i udał się jeszcze w inną stronę dla wyszukania łosia i caribou, których tu nie spotkał. Przy stacji niektórzy Indjanie rozłożyli swój obóz i zajęli się poszukiwaniem i sporządzaniem łososi na zimę.

Nazajutrz spotkaliśmy nad rzeką drugi większy obóz Indjan, gdzie się znajdował ojciec Willy. Zabił on dużego szarego niedźwiedzia i właśnie część jego tylna wisiała na drzewie rozciągnięta na ramie dla wyschnięcia.

Około południa dotarliśmy do stacji telegraficznej, gdzie po przeglądnięciu moich walizek, p. Hyland pokazał mi swoje zdobycze, które mi tam włożył. Nikt jeszcze z myśliwych nie powracał, a ponieważ przed 18-tym łódka motorowa nie miała po nas przybyć, zdecydowałem zaopatrzyć się w nowe zapasy i przeprawić się czółnem przez Stickine do jednej z licznych przystani łososiowej i upolować tam tymczasem jednego lub dwa jeszcze niedźwiedzie.

Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Lipsku 1930 r.



Jeleń węgierski, nierówny 20-stak odznaczony najwyższą nagrodą na Wystawie

JAROSŁAW HUBÁLEK

Wierny przyjaciel

(Autoryzowany przekład z czeskiego Wł. Karnkowskiego).

I.

Ojcem naszego bohatera był sławny Bull, laureat wszystkich wystaw kontynentu, syn mglistego Albionu, kilkakrotny szampion, właściciel dziesięciu pierwszych nagród za pracę w norach, ulubieniec swego pana, inżyniera górniczego.

Matką zaś skromna suczyna, bez dyplomów i medali, których nie miała gdzie zdobyć — nie opuszczając od dzieciństwa głębokich borów karpackich R...skiego rewiru. Pomimo, że rodowód miała w zupełnym porządku, właściciel jej, leśny Jaworski nie chciał jej obwozić po wystawach i konkursach. „Co moja Pera warta — sam wiem najlepiej. Po co ją wozić po świecie, kiedy i tak za nic bym jej nie oddał nikomu!"

Leśny był wdowcem. Młoda żona — po roku pożycia odumarła go równocześnie z dziecięciem. żenić się już nie chciał — żył jak pustelnik ze swą Perą. Usługiwała mu stara gajowa. W samotności mimo młodego wieku — zdziwaczał; ludzi unikał, u nikogo nie bywał, nikogo nie przyjmował. Wieczory, nieraz do późnej nocy — spędzał przy pulpicie, z wiolonczelą i smyczkiem w ręku. U nóg, na dziczej skórze legiwała wierna Pera, szczenięciem dana przez kogoś ze znajomych jego ubóstwianej żonie — a obecnie jedyna po niej żywa pamiątka.

I ona też żyła pustelniczo, jak jej pan. Pomimo czterech lat życia — nie miała jeszcze szczeniąt. Bo i jak? Towarzystwa nie miała tu żadnego, prócz starej suki gajowego — po jakiejś przygodzie myśliwskiej — chronicznie bezdzietnej. Do rewiru oddalonego o trzy mile od najbliższej wioski, gdzie ani drzewa na sprzedaż, ani malin, ani jagód nie było — nie zachodził człowiek — nie zawitał tedy i pies. I tak powoli — wraz z panem zapomniała biedna Pera, że w przyrodzie jest coś — co się miłością nazywa... Okropnym był ten wieczór zimowy. Wicher wygrywał swą piekielną symfonję w nagich konarach drzew. Każda gałąź była mu struną, każda dziupla wypróchniała — trąbonem. Nie słyszał skarg sędziwych buków i brzostów. Całą siłą wyginał kibicie gonnych świerków, okalających od niepamiętnych czasów leśniczówkę. Leśny odstawił czelo i zabierał się do gotowania herbaty, gdy Pera zerwała się, wyciągnęła kształtną, prostokątną główkę ku drzwiom i warknęła z cicha.

„Leżeć — stara"! — ozwał się leśny. „Przyśniło ci się? Ktoby mógł zajść do nas w taką psią pogodę?" — Pera jednak miała rację. Po chwili ozwały się kroki, ktoś stawiał kij w kącie — to gajowy. Zapukano do drzwi i na progu stanęły dwie postacie. Jedną był istotnie gajowy Korzan, drugą ktoś obcy — młody, wysmukły, odziany po sportowemu — wykwintnie. Przez ramię miał skórzany futerał z bronią, w ręku trzymał na smyczy pięknego foksteriera z czarnemi słuchami i łatką na krótko przyciętem piórku. Pera przywitała gościa błyśnięciem białych kłów z pod kosmatych warg — ten jednak niezrażony przyjęciem — ciągnął się do niej — a krótki ogonek drgał mu porozumiewawczo.

Tymczasem przybysz przedstawił się leśnemu i tłómaczył z późnego przybycia. Prohesz inżynier górniczy, do usług!

Jako namiętny kinolog, wystawiał właśnie swego Bulla, importowanego z Anglji, na wystawie Brukselskiej i tam poznał się z właścicielem tutejszych dóbr leśnych, a równocześnie współwłaścicielem przedsiębiorstw, w których inżynier pracuje. Pan akcjonarjusz, dowiedziawszy się, że inżynier pragnie kilka tygodni urlopu spędzić w jakiejś zapadłej głuszy leśnej, sam zaproponował mu rewir Jaworskiego, co bliżej zapewne wyjaśnia w tym oto liście.

Leśny siłą woli się przemógł, żeby nie okazać gościowi niezadowolenia. Gajowy zaś wtaszczył do izby dwa olbrzymie plecaki i postawił pod ścianą.

Usiedli przy stole. Jaworski otworzył list, rzucił okiem na luksusowy papier i wyraźne, energiczne pismo swego chlebodawcy i czytał: Miły Panie Leśny! Posyłam Panu gościa, który tyle właśnie potrzebuje samotności — co Pan towarzystwa. Spodziewam się, że p. inżynier znajdzie miłą u Pana gościnę i prawdziwy, a dobrze zasłużony wypoczynek. Wszelkie koszty utrzymania i mieszkania naszego gościa pokryje mój zarząd leśny w B. Cieszyć się będę, jeśli się Panowie z sobą zaprzyjaźnią. Panu inżynierowi, jako memu gościowi, przysługują wszelkie prawa łowieckie. Z poważaniem...

Leśny położył list na stole, spojrzał w pogodne, dobre oczy gościa i podał mu rękę ze słowami: „Witam was — panie i z góry proszę przebaczyć, jeśli w czem nie wygodzę, jakbym chciał". — „Proszę i mnie darować — panie leśny" odrzekł gość. „Nie wiedziałem, do kogo jestem skierowany. Od gajowego dowiedziałem się, jak pan żyje, z jaką boleścią w duszy. Chciałem się wrócić, nie mącić panu ciszy, ale w taką noc — niepodobna. Zresztą — obu nam w życiu nie wesoło. Kto wie? Może ślepy los popchnął nas ku sobie po to, by nas poprzyjaźnić? O! patrz pan! Bull z Perą już się zaznajomili" — dodał z miłym uśmiechem, ukazując oba pieski leżące zgodnie obok siebie na dziczej skórze. Leśny nalewając gościowi herbatę — tłómaczył się, że dziś nie może go niczem więcej przyjąć. „Nic nie szkodzi, panie leśny. Dziś pan pozwoli, że ja będę robił honory domu. Wiedziałem, że w górach nie wszystko ma się na zawołanie, i przywiozłem z Pragi trochę zapasów".

Rozwiązany plecak okazał się istnym rogiem obfitości. Na stole znalazły się wnet różne wędliny suche, konserwy, sery, wódki i wino, cygara i papierosy. Leśny na ten widok uśmiechnął się błogo — nic podobnego nie widział od trzech lat! Zakrzątnął się też energicznie około nakrycia i gdy pod koniec miłej uczty — obaj trącali się szklankami szkarłatnego nektaru, czuli, że lody są przełamane, że przypadek, który ich pod jeden dach sprowadził — nazwać mogą szczęśliwym.

Te same węzły przyjaźni zadzierżgnęły się między obu pieskami i gdy Pera poczuła w sobie głos natury — stało się to, co się stać musiało. Po miesiącu, wzmocniony na ciele i duszy, powracał inżynier do swych obowiązków, odprowadzany przez leśnego z takim samym żalem, z jakim Pera żegnała swego serdecznego przyjaciela — Bulla.

W kilka tygodni potem — Pera dała życie trzem suczkom i jednemu pieskowi. Śliczne to były szczeniątka; Maleńkie, bieluchne wałeczki, gdzieniegdzie czarną łatką naznaczone. Jedynie piesek, był śnieżno biały, bez odmiany. Płeć silniejszą zdradzał od urodzenia. Jeszcze ślepy, bezwzględnie odsuwał siostry od ciepłej piersi matczynej, a nosek miał stale mokry od mleka. Po dziewięciu dniach wyjrzały na świat Boży blado niebieskie oczka i od tej chwili maleństwa rosły jak na drożdżach. Całe wieczory przesiadywał leśny nad kobiałką, wysłaną sianem, nie mogąc oderwać się od widoku rodzinnego szczęścia. Pera też jego jednego dopuszczała do szczeniąt.

Przyszedł też list od inżyniera z zapytaniem o rzut i zamówieniami na szczenięta. Coś się leśny zdziwił wysokości ofiarowanej ceny. Nic dziwnego! potomstwo szampiona ma swoją wartość! Jaworski sprzedał same suczki, sobie zostawił śnieżno białego pieska i dał mu imię „Boj".

Tu się zaczyna życiorys naszego bohatera. Syn szlachetnych rodziców, najsilniejszy z całego gniazda, karmiony dostatnio od młodości mlekiem i surowem mięsem, rozwijał się znakomicie. Miał zawsze świeże kości miękkie, na których doskonale wyrabiały się zęby, istotnie wspaniałe. Po czterech miesiącach zmienił mleczne na stałe i te wciąż miały coś do roboty. Jeśli nie było kości, darły szmaty, buty, a choćby nogę od stołka. W jesieni był to już prawie pies sformowany. Sierść ostra, gęsta, krótka, leżąca. Oko ciemne, rozumne, głowa regularna, w równych płaszczyznach, prostokątna. Mięśnie stalowe. Pierś głęboka, grzbiet krótki, łapy kocie — tak wyglądał dostojny syn swego ojca-szampiona.

Ostry był, jak brzytwa. Przez wysoki płot skakał bez rozbiegu. W codziennych leśnych obchodach ze swym panem nauczył się łatwo rozeznawać tropy zwierzyny. Z początku pognać lubił za sarną, lub zającem, lecz zaprzestał tego, widząc, że matka tego nie robi. Zato za lisem, borsukiem i dzikiem szedł bardzo wytrwale i nie opuścił tropu ich dla innej. Najwięcej nienawidził kota, bądź dzikiego, bądź domowego. Biada temu, na którego się natknął. Drwił sobie poprostu z zębów i pazurów, milczkiem, bez namysłu rzucał się na każdego, a zawsze z góry. Otrzymane rany zdawały się go jeszcze podniecać. Ostrość wziął po ojcu, po matce zaś wybitny talent łowiecki.

Raz gajowy zameldował borsuka. „Stary wyga, trzy lata tu zimuje. Nora obszerna o kilku piątrach i trzech wylotach".

Boj miał tedy przejść pierwszą próbę krwawą — i to w towarzystwie z rodzicami. Ojciec jego, choć konkursowy norownik, również miał pierwszy raz spotkać się z norą naturalną i borsukiem osiadłym, nie sprowadzonym na konkurs, zmęczonym drogą i wystraszonym widokiem ludzi i psów. Tu pies pracuje inaczej. Zamiast sztucznej nory z desek, z wygodnemi przejściami, dostępnym łatwo barłogiem — ma ziemną lub skalną szczelinę, gdzie skręcony nieraz, jak paragraf, pracuje niekiedy na grzbiecie leżąc i ciąć się musi ząb za ząb z gospodarzem nory.

Dla jednej Pery norowanie nie było nowością. Poznała już wszystkie lisie i borsucze nory w całym rewirze i wielokrotnie dowiodła swej niepospolitej ostrości i odwagi.

Nazajutrz rano wyruszyła mała wyprawa. Dwaj Rusini z łopatami i oskardami, gajowy ze strzelbą i obaj właściciele z psami na smyczy.

Dorosły borsuk ma swoje piętnaście kilogramów, foksterier ledwie ośm. Nadto borsuk odznącza się siłą i odwagą. Uzębienie ostre, strasznie silne szczęki, skóra twarda, porosła grubą sierścią. Niska budowa ciała nie dozwala wyższemu foksterierowi dobrać się łatwo do gardła. Nogi zakończone silnie rozwiniętemi pazurami, stanowią straszną broń zaczepną. W chodniku nory owalnego przekroju, borsuk porusza się swobodnie — pies zaś przeważnie bokiem — odpycha się grzbietem i nogami po ścianach przeciwległych ku przodowi, w absolutnej ciemności, wciąż wystawiony na ostre kły i pazury borsuka, który w swej norze nie zna żartów. Walka z borsukiem nawet na powierzchni ziemi, nie jest i dla ostrego psa rzeczą łatwą, pod ziemią zaś jest wprost ryzykowną. Wszak na konkursach w sztucznej, wygodnej norze, nazywa się dobrą pracą, jeśli pies przez pewien przeciąg czasu potrafi borsuka zatrzymać na miejscu. Chwycić zaś i wyciągnąć borsuka z nory — potrafi tylko pies wyjątkowo ostry, silny i odważny. Nasza trójka miała przed sobą nielada zadanie.

Wyprawa była już u celu. Na łagodnem zboczu, pod korzeniami starego buku — widniała ciemna nora, półokrągło sklepiona. W odległości dwudziestu kroków był drugi otwór, o pięć kroków dalej trzeci, tak zwany odwrotowy". Inżynier, nie mając tyle doświadczenia myśliwskiego co leśny, stał nad pierwszym otworem i z ciekawością słuchał Jaworskiego, wyjaśniającego szczegóły borsuczego barłogu, planowość budowy, oraz czystość i zamiłowanie porządku borsuka.

Opatrzono dokładnie wszystkie wyloty, poczem dwa boczne zamknięto szczelnie kamieniami. Psy, uwiązane do drzewa, zdradzały silne zdenerwowanie. Zwłaszcza Pera darła się niecierpliwie. Trzymana mocno, podniosła mądrą główkę i zawyła żałośnie. Boj, zachowaniem swojem, zapowiadał dobrego rutynistę. Zjeżył sierść, napiął mięśnie, parę razy szczeknął ostro, jakgdyby wyzywając podziemnego wroga, zawisł na rzemieniu i czekał z okiem chciwie utkwionem w wylot nory. Bull wyciągnął się, jak mógł na smyczy i z ogniem w pięknych oczach wciągał wabny wypar z nory płynący.

Pierwszym, którego zdjęto ze smyczy, był Boj. Wpadł do nory, jak bomba, z junackiem szczekaniem. Głos jego zwolna oddalał się, cichł, aż przeszedł w bolesny skowyt. „Oho! już go ma!" krzyknął leśny. Szczekot coraz namiętniejszy dochodził z tego samego miejsca. Po dziesięciu minutach urwał się. W wylocie nory zabielał uparpany tyłek psa. Piesek zmrużonemi oczyma rozejrzał się ciekawie wokoło, otrzepał z siebie glinę z ziemią i byłby znów nurknął w dziurę, gdyby go leśny w czas nie był chwycił na ręce. „Odpocznij bąku", uspokajał go, oglądając troskliwie pokrwawiony łebek. „Puść teraz tatula — niech potwierdzi swoje medale. Oberwałeś trochę po skórze — co?" Lewe ucho jak się pokazało miał Boj przecięte na wylot w kilku miejscach, wargę i ozorek zakrwawione. Ran nie można było zbadać dokładnie, psiak bowiem — silnie podniecony — kręcił się w ręku leśnego i rwał się do nory.

Bull okazał się doświadczonym zapaśnikiem. Do nory wszedł wolno i rozważnie. Cicho przez chwilę. Po dwóch minutach doszedł do myśliwych dwu i trzykrotny basowy szczek. Legli na ziemi z uchem przy wylocie. Po krótkiej pauzie pierwsza wrzawa walki. Bull zwykły w sztucznych norach chwytać wstępnym bojem lisa lub borsuka za gardło i ciągnąć go po drewnianej podłodze, spróbował i tu tego chwytu. Ale trafiła kosa na kamień. Widocznie musiał borsuka puścić, bo znów ozwało się szczekanie pełne złości, z odcieniem chwilowego bólu. I znów dudnienie pod ziemią, trwające dobrą minutę i znów bolesny głos psa. Po jakiejś pół godzinie ukazał się Bull z pełną mordą borsuczej sierści, ale rozdartą wargą — głównie zaś ...bez borsuka. Inżynier pokręcił głową. „To ci się jeszcze nigdy nie przytrafiło — Bullku — prawda? Ty — szampion republiki, zwycięzca zagranicznych konkursów — i bez borsuka!" A pies był zmachany okrótnie — ozór we własnej, czy wrogiej krwi umazany chwiał się w otwartym pysku, w takt zdyszanej piersi.

Pery już nie można było utrzymać. Ciałem szczuplejsza, na oko słabsza, a jak żywe srebro ruchliwa suczka — spuszczona — nie wpadła na oślep do nory. Obiegła teren wokoło, obwąchała zaklinowane wyloty, sprawdziła czy innych zapomnianych niema — i dopiero nurknęła pod ziemię. Wnet potem ozwał się jej srebrzysty głosik. Znać było, że jest tuż przed borsukiem, że go oszczekuje zajadle, ale się jeszcze z nim nie ścięła. Nagle ścichła i ozwała się dalej nieco w norze. I tak parę razy. Parła widać zwierza przed sobą w głąb. Wreszcie stanęła na jednem miejscu i gołsiła stale. — Jaworski z gajowym tymczasem, uchem przy samej ziemi szukali miejsca osadki. Zerwał się leśny, utkwił kij w ziemi, i kazał ludziom kopać na gwałt nie wąską dziurę, lecz szeroki na metr rów, przecinający poprzecznie cały splot podziemnych korytarzy. Na metr głęboko odkryto pierwszy chodnik i zaklinowano go drzewem tak, jak inne dwa, znaleziono nieco dalej. Suczka zaś gołsiła wciąż na tem samem miejscu, tylko o jakiś metr głębiej. Kopanie było coraz trudniejsze. Ziemia z wierzchu luźna i sypka — w miarę głębokości twardniała — na szczęście jednak gajowy nie zapomniał wziąć z sobą oskarda i łomu żelaznego.

Słonko już wskazywało południe, a kopacze jeszcze nie przekopali się do borsuka, choć głos Pery dochodził coraz wyraźniej i wciąż w jednym punkcie. „Widzi pan, panie inżynierze, moja Pera nie jest takim zabijaką, jak Bull, ale jak raz osadzi borsuka, mogę być spokojny, że go dalej nie puści, póki się do niego nie dokopię. Bo właściwie, zadaniem psa jest pomagać myśliwemu w kopaniu, nic więcej. Co mi z tego, że pies zadławi lisa, albo borsuka, co w barłogu jest prawie wykluczone i nie jest w stanie wyciągnąć go? Przecież borsuk to 15 kilogramów — a teren nierówny i łamane chodniki..."

W tej chwili łom kopacza wpadł w próżnię — parę poruszeń łopatą i w głębi błysnął biały ogonek Pery. „Już go trzyma! szkoda, że za słaba, trzeba jej pomóc". Rozszerzono otwór coprędzej. Wzruszenie i ciekawość ogarnęła wszystkich — nikt nie zważał, że się mokrą gliną umaże. Myśliwi klęczeli, lub leżeli na błotnistej ziemi, serca biły, jak młoty, a z głębi dochodziło sapanie i zdyszane odruchy walczących zaciekle zwierząt.

Na oba psy odwodowe nikt nie zwracał uwagi. A niespodzianie miał się zmienić bieg walki. Niecierpliwy Boj przegryzł rzemień i uwolnił temsamem Bulla, poczem — jak piorun — wpadł do nory. Ledwie go gajowy miał czas chwycić za zadnią nogę i wyciągnąć z powrotem. Bull lepiej sobie poradził. Skoczył do drugiego otworu, zewnątrz słabo widać zaklinowanego, wyrwał kołek zębami — i nie zauważony przez nikogo — wpadł w głąb z rzemieniem na obróżce. Już wciągnął się na cztery metry, już słyszał echo walki. Obróżka mu przeszkadzała, czołgał się mimo to dalej. Coś go trzyma... to rzemień zawadził o wystający korzeń. Przegryzł go i pełznie dalej. Chodnik trochę szerszy — posuwa się zatem nieco szybciej naprzód. Chodnik się zagina pod prostym kątem — Bull idzie dalej. Wietrzy. Co to jest?

(C. d. n.)



ANDRZEJ STRZEMIĘ CHWALIBOG

Pies przyjaciel

II.

Pogadankę myśliwską, pomieszczoną w ostatnich numerach „Łowca", pod powyższym tytułem, pozwolę sobie uzupełnić, kilku obrazkami z życia wziętemi.

Prawdziwe zdarzenie z przed wielu lat.

Będąc uczniem wyższego gimnazjum, przyjechałem do domu na święta Wielkanocne, by przy nadchodzącej wiośnie zapolować „na tokach" na cietrzewia. W ów czas miałem przygodę, którą opiszę, gdyż ilustruje pożyteczność i przywiązanie wiernego psa.

Kwiecień, trzecia godzina rano, jeszcze świecą na pogodnem niebie gwiazdy, lecz blask ich przybladł, bo oto od wschodu, część nieba zaczyna się różowieć słabem światłem, jako oznaka bliskiego wschodu słońca. Ciszę przerywa nieśmiały głos skowronka, zaczynającego swoją modlitwę poranną. Z sztucerkiem na ramieniu, z wiernym pieskiem „Karo" nazwanym, u nogi, wyszedłem z domu, by przebyć około dwóch kilometrów drogi przez lasy, do najbliższego tokowiska.

„Karo" był to mój nieodstępny towarzysz w wszelkiego rodzaju polowaniach. Mały piesek, czarny, z długim włosem, podpalany żółto, — jamnik górski polski, rasy, której obecnie prawie że się nie spotyka, — na prostych nóżkach, z krótkiemi uszkami i puszystym zadartym do góry ogonkiem, był zarówno na lisa i borsuka w jamie wybornym, jak i gończym, pomału goniącym zwierzynę, lecz również w razie potrzeby aportował ptactwo z wody, a więc uniwersalnym pomocnikiem w studenckich polowaniach. Gdy zagłębiłem się w bukowy stary las, który przychodziło mi przebyć, usłyszałem miarowy, odgłos piły, którą ktoś drzewo zrzynał. Nie licząc się z słabemi jeszcze siłami, prędko pobiegłem w tym kierunku i zastałem dwóch ludzi zrzynających piłą buka; gdy stanąłem przed nimi, jeden z nich, zabrawszy piłę uciekł, drugi jednak, mający w ręku siekierę, zamierzył się nią na mnie, tak, że byłem w prawdziwem niebezpieczeństwie, gdyż jako szczupły studencik nie mogłem stawić poważnego oporu silnemu chłopu, jakim był złodziej drzewa. — Nie tracąc jednak odwagi, cofnąłem się o krok w tył, by trzymając w lewej ręce sztucer, zasłonić się od ewentualnego cięcia siekierą. W momencie jednak, gdy złodziej wzniósł w górę rękę uzbrojoną w siekierę, nagle boleśnie krzyknął i opuścił rękę, oganiając za siebie siekierą.

Pokazało się, że to poczciwy „Karo" w krytycznej chwili przyszedł mi z pomocą, gdyż całą siłą pyszczka zagłębił w łydce złodzieja, swoje ostre zęby. Korzystając z chwili, gdy się złodziej odwrócił, wyrwałem mu siekierę z ręki, a Karo rzucił się za uciekającym z niezwykłą zażartością, skacząc mu do nóg.

W ten sposób, dzięki wierności i odwadze pieska, uniknąłem poważnego niebezpieczeństwa i z tryumfem prócz ubitego później koguta, przyniosłem do domu odebraną siekierę.

W Bolęcinie, w sierpniu 1930.

A GROETCHEL

Mój pierwszy kłusownik

Piękny dzień czerwcowy chylił się ku zachodowi — kiedy tuż nad rozległemi bagnami „Łosińca" rozstałem się z gajowym M. Razikiem, by zasiąść przy jamach lisich, celem obserwacji małych lisków.

Zaledwie kilka minut posiedziałem przy jamach, gdy silny rogacz zaalarmował od północy na bagnie, poczem ciągle becząc, szybko uchodził w stronę lasu — niebawem też przemknął tuż obok i znikł w drągowinie sosnowej.

Tuż po rogaczu nadbiegł zasapany gajowy, z twarzą czerwoną, pokrytą kroplami potu i gestykulując silnie, przyciszonym głosem oznajmia: „Raubschütz na bagnie, idzie ku nam".

Po kilku słowach porozumienia się, podsuwamy się ostrożnie na brzeg lasu, kryci sosnową drągowiną. — Przy pomocy szkieł odkrywam wkrótce na błocie w odległości paruset kroków starszego chłopa, który z dubeltówką pod pachą zwolna przesuwa się wśród krzewów łozy bagiennej ku lasowi, na skraju którego stoimy.

Rozchodzimy się przeto o jakie stokilkadziesiąt kroków i zajmujemy wygodne do obserwacji stanowiska. Kłusownik zmienia kierunek i poczyna oddalać się ku wschodowi — w końcu niknie nam z oczu wśród krzewów łozy.

Pilnie bacząc, co dalej będzie, nie spuszczamy z oczu wąskiej smugi łąki przyleśnej, która wolna od krzewów musi nam wkrótce wskazać kłusownika.

Tak minęło dla nas kilka bardzo niecierpliwiących minut, gdy nagle pożądana zdobycz zjawia się tuż naprzeciw mnie, wychylając się z gęstwiny o jakie 120 kroków.

Położenie moje było fatalne, od strony kłusownika nie miałem żadnego krycia, stąd bowiem wcale się go nie spodziewałem; usuwam się przeto bardzo ostrożnie na ziemię i szukam osłony za kępą bujnej trawy, rosnącej na skraju lasu, wśród w tem miejscu bardzo przerzedzonej sośniny, Rzecz prosta, okrycie bardzo liche i niepewne.

Manewr mój uchodzi zupełnie uwagi kłusownika — gotowy do strzału z palcem na cynglu zbliża się do mnie bardzo powoli, śledząc na prawo i lewo za zwierzem.

Serce wali mi jak młotem, od kłusownika dzieli mnie przestrzeń 30 kroków. Nagle wzrok jego pada na mnie, lecz ku memu wielkiemu zdziwieniu, oczy jego przesuwają się spokojnie po mojem szarem ubraniu — widocznie wziął mnie za kawałek zmurszałego pnia, mija mnie wolno i idzie dalej cicho i ostrożnie wzdłuż ściany lasu.

Takt mego serca zwalnia — ostrożnie, by nie trącić której z licznych dookoła mnie suchych gałązek, podnoszę się i ze strzelbą gotową do strzału, posuwam za kłusownikiem możliwie bez szelestu.

Nagle kłusownik ujrzawszy gajowego, który również nie miał dobrego ukrycia, gwałtownie rzucił się w bok i co mu sił starczyło uchodził ku bagnu.

Miałem wówczas lat dziewiętnaście, dobre płuca, sprężyste nogi i dużą zawziętość na kłusowników. Stąd wyścig nasz nie trwał długo, zwłaszcza, że chłop potknął się na kępie bagiennej i runął w błoto.

Nim zdołał wykonać jakikolwiek ruch, przygniotłem go kolanem, lewą ręką chwyciłem jego dubeltówkę, trzymając w prawej swoją, zagroziłem uderzeniem w kark. Wzrok miał przerażony, lecz przez kilka minut strzelby z rąk nie puszczał.

Nowa groźba i widok nadbiegającego gajowego ostudził jego zawziętość — wypuścił strzelbę z rąk.

Był to dość majętny chłop z Maziarni Warzkowej, którego gajowy znał osobiście.

To był mój pierwszy kłusownik. — Wracaliśmy zatem zadowoleni i nie przyszło nam nawet na myśl, że powyższą scenę obserwował z ukrycia drugi kłusownik, który opowiadał o tem zajściu pracującemu u nas robotnikowi leśnemu.

Korespondencje

Lwów, dnia 23 sierpnia 1930

Z wielką radością, zaciekawieniem i umiłowaniem czytuję dyskusje myśliwskie na najrozmaitsze tematy, na łamach naszego poczytnego „Łowca", a będąc od chłopięcych lat myśliwym, a może nawet bardziej miłośnikiem przyrody i piękna natury, posiadając tereny łowieckie Kamionka ad Skole, Wołosianka ad Sławsko, Kalne i Hutar ad Ławoczne i prowadząc w miarę mych zasobów materjalnych, możliwie racjonalną gospodarkę, pozwalam sobie odnośnie do ostatnich zdań w artykule „O ochronie jeleni", p. Dr. Zenktelera — garstkę swych własnych spostrzeżeń dorzucić.

Czcigodnym Panom A. Przedrzymirskiemu, H. Tarnowskiemu, A. Mniszkowi w Ich szlachetnych pracach postawienia myślistwa na idealnym poziomie towarzyszy szczere uznanie nie tylko większej i możniejszej lecz i mniejszej braci myśliwskiej, zechciejcie jednakże czcigodni Panowie wniknąć, oświetlić i uzdrowić sprawę ważną, może najważniejszą, którą tutaj poruszę.

Kłusownictwo! Ileż to już papieru na ten temat zapisano ile trudu i pracy położył niejeden myśliwy, by temuż kres położyć, a już conajmniej je ukrócić! — Posterunki policyjne idą na rękę myśliwym — łapie się kłusownika i każe śmieszną kwotą zł. 5, gdzie wina, szukajcie Czcigodni Panowie, radźcie póki czas, a czas obecnie najlepszy, gdyż tak miłującego i rozumiejącego myślistwo Ministra, jakim jest nasz obecny, może już nigdy mieć nie będziemy i jeżeli teraz błędów ustawodawstwa nie poprawimy, wnukowie nasi, a może i synowie już łowami rozkoszować się nie będą!

Garstką słów tych pragnąłbym rozpalić ogień wielki w sercach wszystkich wielkich naszych i możnych myśliwych, by sprawę tę raz radykalnie rozstrzygnęli i załatwili, gdyż to co się często czyta „sąd ukarał kłusownika kwotą zł. 10" lub „sąd skazał wnykarza na 7 dni aresztu z zawieszeniem na lat 5" jest conajmniej bolesnem dla każdego myśliwego.

Za dużo się rozpisałem, więc do rzeczy. W ostatnich latach panuje ciekawy w Karpatach zwyczaj, że polowania oddaje się chłopom-analfabetom — często znanym, lecz nie schwytanym na gorącym uczynku kłusownikom. — Taki P... chłop ze Sławska sławny i znany kłusownik od Lubieniec aż do Ławocznego — dzierżawi dziś polowania. Czemu się tak dzieje? Tolerancja — demokratyzm, równe prawa? Może! Ale jak może mieć równe prawa myśliwy hodowca i chłop kłusownik. Biedny jest taki demokrata-urzędnik, który tak go pojmuje. Otóż jeden z terenów, szajce takich panów wyrwałem i muszę prowadzić wojnę podjazdowo-dyplomatyczno-zasadzkową, bo wsie całe „stoją" za nim. Kto winien? Gdzie naprawa? Czy ja skromny śmiertelnik, a może jeszcze jeden czy drugi podobny zapaleniec podoła złemu? Nie, tutaj podoła mądre ustawodawstwo, a przedewszystkiem mądrzy wykonawcy tegoż. Czy nie możnaby ustawowo zmusić gminy, by o każdem wolnem polowaniu zawiadamiały M. T. Ł. a To jużby się postarało o moralnie i etycznie dojrzałego dzierżawcę?

Mam nowo nabyty teren, który był wspaniałym przed laty — obecnie po dzierżawie tego P... - chłopa, pobojowisko zupełne. — Dziki tylko zachodzą, lecz pół roku spokoju, a napewno i jeleń i niedźwiedź będzie, bo ten ostatni już zachodzi. Lecz w sporadycznych wypadkach dobra wola, zamiłowanie i umiłowanie myśliwstwa przez jednostkę nie zaradzi złemu, tutaj trzeba zmienić system, tutaj trzeba środków leczniczych radykalniejszych i o znalezienie tychże apeluję gorąco do odpowiednich i odpowiedzialnych czynników! Piszcie, radźcie, poprawiajcie ustawę, by nie było za późno!

Jako ciekawy przyczynek, pozwolę sobie nadmienić, że rezultatem tej „mojej wojny" jest naprzykład w takiej „Wołosiance" odebranie przez posterunek policyjny 16-tu strzelb i karabinów kłusownikom, chłopom-myśliwym!

Komendantowi posterunku, p. Pałasiewiczowi, należy się szczere uznanie.

Leon Teodor Skrzypek

Komunikat

W dniu 21, 22 i ewentualnie 23 b. m. odbędą się czwarte z rzędu próby polowe psów myśliwskich na polach Dóbr Wilanowskich pod Warszawą.

Próby rozpoczną się w Wilanowie punktualnie o godz. 8 rano. Zbiórka na stacji kolejki Wilanowskiej w Wilanowie. Wyjazd z Warszawy kolejką Wilanowską o godz. 6 m. 23 rano.



Towarzystwo myśliwskie Im. Św. Huberta w Mielcu, istniejące od lat 6-ciu, obchodziło w dniu 6-go lipca b. r. miłą uroczystość wręczenia dyplomu członka honorowego towarzystwa, najstarszemu myśliwemu w powiecie p. Inżynierowi Mieczysławowi Szaferowi. Pięknie wykonany dyplom przez towarzysza myśliwego Mr. Gardulskiego, z odpowiednią dedykacją, wręczył p. Szaferowi prezes towarzystwa p. Dr. Wronka, przyczem podniósł zasługi jakie położył p. Szafer dla podniesienia łowiectwa w powiecie, przez wychowanie w duchu prawdziwie myśliwskim, całego szeregu młodych myśliwych.

Uroczystość wręczenia dyplomu połączyło towarzystwo z drugą również dla myśliwych miłą uroczystością, dekorowania odznaczonych przez Małopolskie Towarzystwo Łowieckie medalami, pięciu panów z policji państwowej, za największą ilość odebranej kłusownikom broni.

Dekoracji dokonał również prezes towarzystwa p. Wronka, a w krótkiej mowie wygłoszonej do dekorowanych zaznaczył, że policja państwowa, zwalczając kłusowników i kłusownictwo, przyczynia się do powiększenia majątku narodowego. Tak przy wręczaniu dyplomu jak i dekorowaniu odznaczonych, brała udział szersza publiczność jak i członkowie towarzystwa myśliwskiego z p. Starostą Balickim i hr. Stanisławem Rejem na czele.

Uroczystość zakończono strzelaniem do rzutków i wspólną fotografią.

Na fotografji stoją odznaczeni medalami pp. policjanci państwowi, siędzą zaś od lewej ku prawej członkowie towarzystwa: hr. Rej, Kętrzyński, Dr. Wronka, Inż. Szafer, starosta Balicki, Mr. Muniak, Węgrzyn, Barycki, siedzą na ziemi Mr. Gardulski i Stefka.



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16